NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Redaktor naczelny TADEUSZ SWIĘCICKI

Prenumerata miesięczna: z przesyłką pocztową lub dostawą do domu: **3,800.000** Mkp. — Zagranicą podwójnie. — W Ameryce rocznie 12 dolarów, półrocznie 6 dol.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

CENY OGŁOSZEŃ: W części inseratowej na ostatniej stronie za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy 15 groszy — cała kolumna Złp. 200·— pół kolumny Złp. 100·— 1/4 kolumny Złp. 55·— 1/8 kolumny Złp. 30·— 1/16 kolumny Złp. 20·—. W częsci redakcyjnej za 1 wiersz milim. jednoszpaltowy 40 groszy — cała kolumna Złp. 300·— 1/2 kolumny Złp. 160·— 1/4 kolumny Złp. 75·— 1/8 kolumny Złp. 40·— 1/16 kolumny Złp. 25·—. Układ tabelaryczny 50 % drożej. Ogłoszenia zagraniczne 100 % drożej. — Oprócz ceny za zajęte miejsce należytość za klisze według cen bieżących obecnie 15 gr. za centm.² Ogłoszenia kolor. 100% drożej. Ceny ogłoszeń w Złotych polskich obliczonych po urzędowym kursie Franka złotego.

Konto P. K. O. Nr. 140.260. Konto Bank Związku Spółek Zarob. w Krakowie. Redakcja otwarta dla stron od 10—12. Rękopisów i fotografji Redakcja nie zwraca

Należytość pocztowa opłaconą ryczałtem. **Numer pojedynczy 1,000.000 Marek.**

Rok XXI. Kraków, 10 maja 1924. Nr. 19.



3-ci Maja w Stolicy.

Prezydent Rzeczypospolitej Stanisław Wojciechowski w otoczeniu członków rządu i generalicji przechodzi przed frontem wojsk i organizacji społecznych.



3 maj w Stolicy. Banderja Krakusów z komendantem Niklem na czele w pochodzie narodowym przeciąga przed Prezydentem. (fot. Sarjusz Wolski, Warszawa).

Z tygodnia warszawskiego.

(Obchód 3 Maja. — Powrót repatrjantów. — „Żywy Budda" i sprawa nagości na scenie).

Wśród więcej, niż kapryśnej wiosny tegorocznej znalazł się jednak jeden poranek piękny i słoneczny, jak to święto narodowe, które miał opromienić. Był to Trzeci Maja. Uczciła go Warszawa równie serdecznie, jak lat poprzednich, choć nie z takim przepychem, jak rok temu, kiedy to marszałek Foch uświetnił Wielką Rocznicę i odsłonięcie pomnika Księcia Józefa. Uroczystości rozpoczęła Msza św. u Św. Jana, celebrowana przez ks. kardynała Kakowskiego, na której był obecny Prezydent Rzeczypospolitej po prawej stronie presbiterjum na wzniesieniu pod baldachimem, na tradycyjnem miejscu królów polskich. A dalej Rząd, Sejm, Senat, Korpus dyplomat., generalicja, przedstawiciele prasy i organizacje społeczne. Po nabożeństwie defilada, entuzjazmująca tłumy widokiem wojska, a wreszcie barwny pochód, w którym specjalnie podobała się konna banderja Krakusów, wesele krakowskie na wozach i oddział kosynierów z orkiestrą na czele. Wieczorem wydał pan Prezydent Rzplitej uroczysty Raut na Zamku, w pięknej sali assamblowej i w przyległych dawnych komnatach królewskich. Zebranie, rozpoczęte produkcjami artystycznemi pp. Czapskiej, Ady Sari i Miecz. Frenkla, przeciągnęło się do godziny 1 po północy.

Można sobie wyobrazić, z jakiem uczuciem oglądali to święto ci, którzy po niewysłowionych mękach fizycznych, a zwłaszcza moralnych powrócili bezpośrednio przed niem z piekła bolszewickiego. Mam na myśli grupę zakładników-repatrjantów, odzyskanych w zeszłym tygodniu przez Polskę wzamian za odpowiednią ilość komunistów i po przezwyciężeniu niesłychanych trudności, jakie stawiał rząd sowiecki. Patrząc na tę sprawę objektywnie, można było odnieść wrażenie, że bolszewikom o wiele mniej zależało na ich komunistach, niż Polsce na obywatelach jej, męczonych w Rosji. Co więcej, jeszcze w ostatniej chwili urwali bolszewicy parę osób z oznaczonej grupy polskich repatrjantów i zatrzymali ich u siebie. Nie chcąc opóźniać powrotu reszty, delegacja polska nie postawiła sprawy na ostrzu miecza. I w ten sposób, po wzruszającem powitaniu ziemi ojczystej na jej granicy, nastąpił iście tryjumfalny wjazd do Polski rodaków naszych, wynędzniałych i zmęczonych, ale promieniejących radością powrotu. W Warszawie czekało ich entuzjastyczne przyjęcie. A że wśród uwolnionych znalazł się i Francuz dziennikarz, który na własnej skórze poznał kulturę byłej sojuszniczki swego kraju, więc mimowoli przysłużyli sie nam bolszewicy nienajgorszą propagandą. Głośno też wypowiadał sympatyczny Francuz swe refleksje na temat zachodniego humanitaryzmu kultury polskiej i prymitywności barbarzyństwa moskiewskiego.

* * *

Wbrew temu, czego uczy przysłowie, miała Warszawa sposobność przekonać się o prawdzie, że z małej chmury spada niekiedy wielki deszcz. Tą małą chmurą stała się sztuka znanego powieściopisarza, prof. Ossendowskiego p. t. „Żywy Budda", osnuta na tle znanej powieści tegoż autora. Miarą zaś sposobu, w jaki krytyka jednomyślnie przyjęła ten dramat, może być popularny dowcip, jaki rychło powstał z tej okazji: Oto że tytuł powinien tu brzmieć raczej: „Żywa bujda".. Wszystko to jednak minęłoby bez echa, gdyby nie urocza artystka, p. Mila Kamińska, która w 3. akcie odsłoniła w całym ich blasku „parę piersiątek zupełnie bezkonkurencyjnych", jak napisał Boy, który poczuł się w swoim żywiole. A kiedy z pewnych sfer wyjaśniono, że p. Kamińska miała na sobie cielistą kamizelkę z guziczkami, Boy zareplikował, że guziczki wprawdzie były, ale stanowczo tylko dwa... A w obozie sędziwych ciotek i dostojnych matron zawrzało. „Pornografja, rozpusta!" — szeptano tam ze zgrozą. Oczywiście popularna „czerwona" prasa nie pominęła takiej gratki, jaka nie nadarzyła się od czasu procesu dr. Sadowskiej, i rozpisała ankietę na temat nagości na scenie. Jak dotąd, większość odpowiedzi oświadczyła się za nią. Niewiasty nie okazały się tu mniej postępowe od płci brzydkiej. Jedna z nich zażądała nawet kategorycznie zastosowania zasady nagości na scenie także u mężczyzn...



„Wesele krakowskie" w pochodzie narodowym wywoływało entuzjastyczny zachwyt publiczności warszawskiej. (fot. Sarjusz Wolski, Warszawa).

Ale i poważna opinja publiczna zajęła się tą sprawą. Wyrazem tego zaciekawienia były wywiady udzielone przedstawicielowi jednego z dzienników warszawskich przez dyrektora depart. sztuki w Ministerstwie Wyznań Rel. i O. P., p. Skotnickiego, i przez naczelnika wydziału prasowego M. S. Wewn., p. Wańkowicza. Obaj przedstawiciele rządu wyrazili pogląd, że nagości pięknego ciała ludzkiego nie można uważać



Wycieczka krakowska na 3 maja w Stolicy. Grupa uczestników wycieczki pod pomnikiem Mickiewicza w Warszawie.



3 Maja w Krakowie. Na błoniach. Gen. Szeptycki na koniu przyjmuje defiladę wojska. Koło generała stoją: wojewoda Kowalikowski, prezydent Federowicz i dziekan wydziału prawa U. J. prof. Gołąb.

zasadniczo za rzecz niemoralną, pod warunkiem jednak, że kultura artystyczna widza stoi tak wysoko, iż szuka on w nagości wrażeń wyłącznie estetycznych a nie... innych. Wprowadzenie zaś cenzury kostjumów scenicznych przez władze nastąpićby mogło jedynie na żądanie opinji publicznej, gdyż ona jest najwyższym arbitrem w sprawach sztuki i smaku artystycznego. To taktowne, mądre i zgodne z duchem czasu oświadczenie obu przedstawicieli władz wywarło ogólnie jaknajlepsze wrażenie. *W.*

Bezpieczeństwo granic Ojczyzny naszej zawisło od Rozwoju Lotnictwa Rodzimego i dlatego Kraj nasz w najbliższym czasie winien się pokryć siecią powietrznych linji komunikacyjnych na wzór sieci kolejowej.

Oba te środki lokomocji będą wzajem się uzupełniały. *Tyszka.*

Święto 3-go maja w Krakowie.

Przyznam się, na wszystkie oficjalne „galówki“ patrzę trochę ironicznie, jak na przedstawienia gorzej, lub lepiej odegrane ale — przedstawienia. Nauczyły mię tego uroczystości oficjalne w innych krajach. Ot! na oznaczoną godzinę zbiera się policja, wojsko, na dźwięki pobudki zbierają się tłumy przechodniów, parę chwytających za serce melodji, trochę okrzyków, a potem szczyt szczytów, cud cudów... defilada. Obojętny świadek takich gal chwilowo „jest w nastroju“ ale niech tylko umilkną dźwięki marsza, ucichnie odgłos miarowo tętniących nóg i kopyt końskich, pomyśli sobie zapewne.

— No i cóż? za rok i jeszcze za rok i jeszcze za rok będzie to samo, zbierze się tak samo wojsko i oficjalno-popularne oblicza dygnitarzy znów będą się uśmiechały dyplomatycznie, lub roniły dobrze wyuczone, uprzejme, protekcjonalne słówka. Znika wtedy cały chwilowy entuzjazm, a pozostaje... wrażenie z Pathé-Journalu w kinie. Ha! dobre i to!

Więc nic dziwnego, że i na uroczystość 3-go poszedłem z uśmiechem trochę sceptycznym. Na ulicach, w rynku, na wszystkich trotuarach zbierały się grupki ludzi ubranych odświętnie, flagi biało-czerwone, dumnie łopotały na wietrze, niektóre okna udekorowane, twarze przechodniów jasne i uradowane... i zaraz przypomniała mi się Francja, gdzie w święto zburzenia Bastylji uroczystość narodowa jest wielkiem, radosnem zdarzeniem w każdym domu, gdzie każda rodzina raduje się potęgą i szlachetnością swego narodu.

A przecież 3-ci maja w Polsce, to dzień wielki, bardzo wielki i trudno nie uznać mądrości tych, co podnieśli obchód ten do uroczystości państwowej. To nie tryumf oręża, często zawodny i krótkotrwały, to nie urodziny cesarza, ani „cudowne“ ocalenie carskiej rodziny. Nasza wiosenna uroczystość jest świętem zmartwychwstania w narodzie — ducha — dowód wielkiej kultury i wielkiej godności.

Ale państwo okazało zebranym rzeszom coś więcej jeszcze; Przed oczami, w których zaświeciła niejedna łza wzruszenia, przeciągnęły zwarte, karne zastępy wojska. Wyprężone, śmigłe sylwetki dowódców, głowy żołnierzy podniesione dumnie, z fantazją, miarowy, potężny łoskot nóg... mówiły wyraźnie, Polska to Potęga. Pokażcie nam śmiałka, który porwał by się na naród, co takich ma obrońców! I wtedy niejeden przypomniał sobie jak przez mgłę, smutną, jesienną mgłę, jak te szły, wymykały się garstki dzieci prawie, walczyć pod cudzym sztandarem za Wielką i Niepodległą jak narażeni na szykany, masową rzeź i chłód i głód i najgorszą z wszystkiego niepewność, rzucali młodociane swoje życie w ofierze Ojczyźnie.

Dziś niejeden z nich jedzie na czele oddziału i napawa się słoneczną roześmianą rzeczywistość.

Toteż naród, widząc, co zawdzięcza swym rycerzom, kocha wojsko, jak źrenicę oka i pyszni się niemi jak drzewo najpiękniejszem swem kwieciem.

Uroczystość zaczęła się w katedrze na Wawelu. Dostojny biskup Nowak celebrował mszę w obecności ks. biskupa Sapiehy.

Druga msza-polowa odbyła się na błoniach, w obecności reprezentantów władz.

Po nabożeństwie rozpoczął defiladę 8 pułk ułanów a potem waliły oddział za oddziałem artylerja, piechota, sapery, jak okiem sięgnąć, szły karne zastępy wojska przy dźwiękach marsza i radosnych okrzyków tłumu. Koło 12-ej Rynek zapełnił się publicznością, Z mownicy przemówił do publiczności prof. Kutrzeba. Piękna mowa wywołała wrażenie potężne i nagrodzona została niemilknącemi oklaskami. Uroczystość zakończyła się przy dźwiękach hymnu państwowego. *T. B.*





3 Maja w Krakowie. Na błoniach. 1) Gen. Szeptycki na koniu przyjmuje defiladę. 2) 8. p. ułanów ks. Józefa pod komendą płk. Bzowskiego na czele defilady Z prawej strony orkiestra ułanów z fanfarami.

Otwarcie wystawy wszechbrytyjskiej w Wembley.

W stadjonie Wembley tuż pod Londynem, król Jerzy otworzył wystawę, a w otwarciu wzięło udział ćwierć miljona osób. Trzy miljony osób, w Wielkiej Brytanji, Europie, Ameryce i angielskich kolonjach, aż do Kapstadu i Kalkuty słuchało przy pomocy radio-telegrafu mowy króla. Wystawa jest przedsięwzięciem olbrzymiem. Przez cztery lata 8000 robotników na trzy zmiany w dzień i w nocy pracowało nad wybudowaniem budynków przeznaczonych na pomieszczenie eksponatów. Koszta wybudowania pawilonów wyniosły 12 miljonów funtów, a ogólna wartość, wystawionych przedmiotów surowców sięga również do 12 miljonów funtów.

Anglja reprezentowana jest głównie w trzech działach, a mianowice: w dziale przemysłu, sztuki i budowy maszyn. Pałace tych działów mają dowodzić mieszkańcom kolonji i Amerykanom, że w produkty cywilizacji i kultury najlepiej można się zaopatrywać w Anglji.

Białe pałace Kanady, Australji, Nowej Zeladji i Indji dają kupcowi i konsumentowi angielskiemu przegląd produkcji całego wielkiego mocarstwa. Małe kolonje jak Birma, Hongkong, Afryka środkowa i inne — urządziły miniaturowe wioski z typowemi domami i warsztatami, w których tubylcy przędą swoje ojczyste wyroby, oraz wyprawiają skóry na swój sposób.

Park zabawowo-rozrywkowy, zajmujący powierzchni 47 hektarów posiada wszystkie środki mechanicznego pobudzenia nerwów, jakie tylko byli w stanie wymyśleć angielscy i amerykańscy inżynierowie i reżyserowie miejsc rozrywkowych. Szczególną uwagę zwraca t. zw. miasto dzieci w którem są przedstawiane znane bajki, w naturalnych wielkościach postaci, a między innemi olbrzymi but, w którym mieszka biedna rodzina z dziećmi.

Clou całej wystawy stanowi jednak nie wytwór ręki ludzkiej, lecz jest to podarek angielskiej przyrody. Między biało pomalowanemi budynkami ciągną się wspaniałe trawniki, przerywane grządkami kwietnikami. Znajduje się tam 100.000 tulipanów różnego koloru, oraz setki innych kwietnych płodów angielskiej wiosny.

Dla udogodnienia komunikacji wystawa jest połączona z Londynem trzema linjami kolei elektrycznej, na których krążyć będą co 5 minut pociągi.

Król w dniu otwarcia nadał szlachectwo jeneralnemu dyrektorowi, szefowi biura budownictwa i kierującemu inżynierowi za to, że urządzenie wystawy w chwili otwarcia, było wykończone bardziej aniżeli w innych, tego rodzaju wystawach w dniu otwarcia.

Fotografje nasze przedstawiają właśnie kilka momentów z pierwszego dnia otwarcia tej wystawy.

W następnych numerach przyniesiemy naszym czytelnikom dalsze zdjęcia z tej wspaniałej wystawy, która może być słuszną dumą i chlubą wielkiego mocarstwa wyspiarskiego.

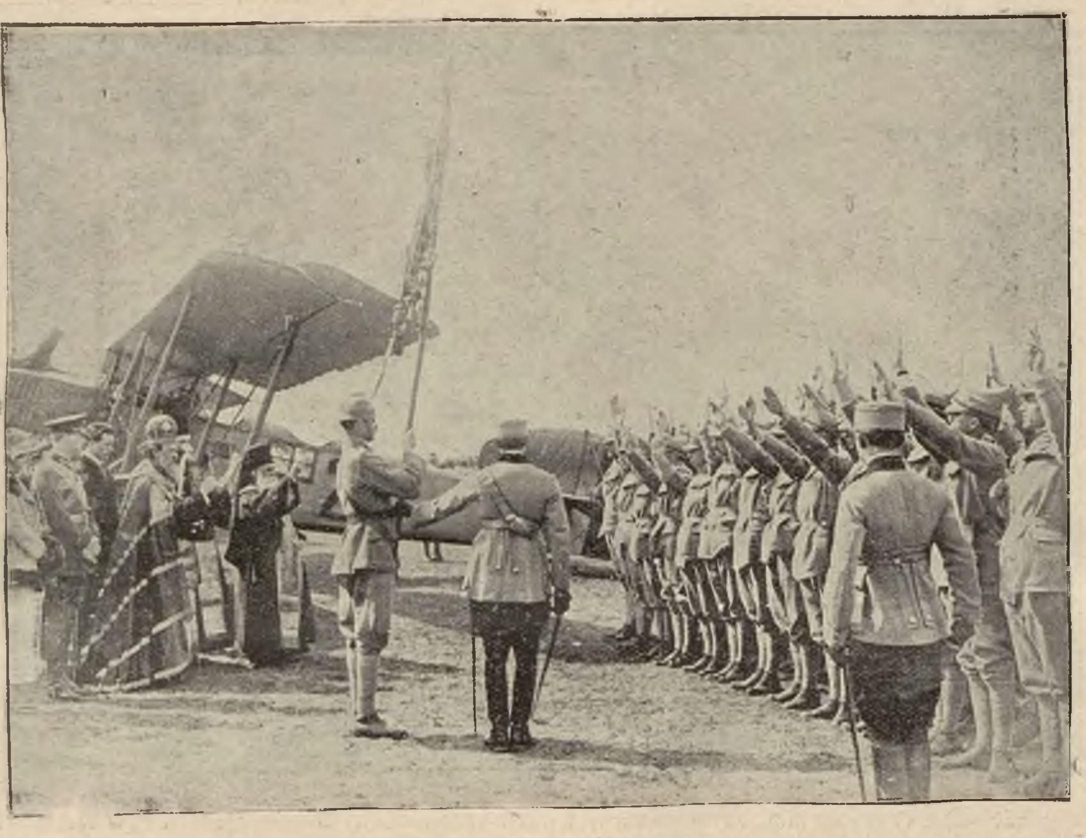


Król Jerzy V. i królowa Mary wraz z synami ks. Yorku i ks. Henrykiem udają się w powozie galowym na otwarcie wystawy w Wembley. fot.: Atlantic — Photo Co.





Uroczyste otwarcie wielkiej wystawy brytyjskiej w Wembley: 1) Księżniczka Mary, najstarsza córka królewskiej pary angielskiej ze swoim mężem wicehrabią Lascelles udają się na otwarcie wystawy. 2) Książęta z Ceylonu na otwarciu wystawy. fot.: Atlantic — Photo Co.



Lotnictwo rumunskie: Przysięga nowozaciężnych lotników rumunskich.

Prezydent ministrów Grabski o lotnictwie polskiem.

Szef Wydziału polit.-pras. Prezydjum R. M. p. Romer w odpowiedzi na pismo nasze nadesłał „Nowościom“ z polecenia p. premiera następującą opinję Jego o lotnictwie:

Lotnictwo jest dziedziną, w której każdy naród stara się obecnie uzyskać palmę pierwszeństwa. Polska nie może pozostać w tyle po za innymi narodami. Trzeba zwłaszcza pamiętać o tem, że lotnictwo ma obecnie zupełnie pierwszorzędne znaczenie tak dla obrony państwa jak i dla rozwoju jego środków komunikacyjnych. Poziom techniki lotniczej w danym kraju jest poważnym sprawdzaniem jego wartości mocarstwowych.

Komunikacja powietrzna, obrona kraju w czasie wojny, lotnicza poczta, badanie krajów nieznanych i niedostępnych w celach naukowych — oto szczytne cele i zadania lotnictwa, którego rozwój dla dobra ludzkości i rozkwitu nauki niepospolite posiada znaczenie. To też musimy zdobyć się na godny naszej potęgi państwowej wysiłek dla zaszczytnego brania udziału w tem chlubnem współzawodnictwie państw i społeczeństw.

O przyszłość lotniczą Polski.

Z radością możemy dziś już stwierdzić, że kampanja podjęta przez „Nowości Illustrowane“ w sprawie przyszłości lotnictwa polskiego wywołała żywe echo w społeczeństwie. Świadczą o tem listy czytelników z różnych stron Polski napływające, świadczą dodatnie a tak cenne dla nas dowody, głosy prasy, która bez względu na obozy czy kierunki partyjne, zsolidaryzowała się z podjętą przez nas kampają.

Świadczy wreszcie poparcie jakiego doznaliśmy ze strony najwybitniejszych przedstawicieli władz i polityki polskiej. Już w poprzednim numerze mieliśmy możność podać facsimile listów i aforyzmów nadesłanych nam łaskawie przez marszałka Trąmpczyńskiego, ministra, wojny gen. Sikorskiego, szefa sztabu gen. St. Hallera i gen. Leveque, w numerze zaś obecnym, w uzupełnieniu tego zbioru myśli i opinji najwybitniejszych polaków o lotnictwie Polski podajemy aforyzm p. ministra komunikacji inż. Tyszki i prezydenta ministrow p. Władysława Grabskiego.

Aforyzmy te otrzymaliśmy — niestety — już po wydrukowaniu numeru, lotniczego i dlatego nie mogliśmy ich zamieścić na czas. Ze względu jednak na doniosłe znaczenie, jakie dla propagandy lotniczej mieć powinny, podajemy je dzisiaj, nie odkładając do żadnej dalszej okazji lotniczej.

Szczególniejsze znaczenie ma dla nas opinja p. prezydenta ministrów, nadesłana nam z Jego polecenia przez szefa wydziału polityczno-prasowego prezydjum Rady Ministrów p. Romera.



Lot naokoło świata: Przywódca ameryk. lotu naokoło świata major Martin uległ wypadkowi spadł ze swoim aparatem do morza koło Alaski, gdzie uratował go amerykański torpedowiec.
fot.: Atlantic — Photo — Co.

Słowa p. Grabskiego stwierdzają, że ten mąż stanu, który przez swą działalność sanacyjną przywraca Polsce prestige i znaczenie mocarstwowe w Europie, pragnie dokazać tego nietylko w dziedzinie gospodarczej, ale uczynić Rzeczpospolitą mocarstwem europejskiem w pełnem tego słowa znaczeniu.

* * *

W związku z poprzednim numerem lotniczym podajemy też dzisiaj kilka fotografji, przedstawiających rozwój awjacji zagranicą.

Na jednej z nich widzimy scenę ilustrującą rozwój lotnictwa rumuńskiego. Zastęp rekrutów rumuńskich, świeżo przyjmowanych do wojska lotniczego, składa przysięgę wojskową, — przysięgę na aeroplan. Odbierają tę przysięgę księża prawosławnego Kościoła rumuńskiego w swych wschodnich szatach obrzędowych i komendant pułku lotniczego, z dłonią opartą na sztandarze lotniczym.

Dwa inne zdjęcia ilustrują przedsięwzięty przez eskadrę amerykańską lot „dokoła świata“. Jak wiadomo w przedsięwzięciu tym amerykanie znaleźli rywali w anglikach, którzy wysłali również całą eskadrę w taką samą drogę. Jedni lecą z Anglji ku wschodowi, drudzy z New Jorku na zachód. Z jakiemi trudnościami muszą borykać się ci śmiali angielscy i amerykańscy lotnicy, na to wskazują choćby tylko przerwy i przygody w podróży. Anglicy utknęli u wybrzeży greckich z uszkodzonemi aparatami, amerykanie przelecieli już przez cały kontynent amerykański. I tu u wybrzeży amerykańskich, na Alasce, komendant eskadry amerykańskiej major Martin, o mało nie zakończył ostatecznie swego lotu i nie opłacił życiem swej zuchwałości. Spadł on bowiem wraz z aparatem swym w ocean i dopiero w ostatniej chwili wyłowiony został przez torpedowiec.

Nie odstraszyło to jednak lotnika i zaledwie ocalony — z powrotem podjął swój lot.

Tak amerykanie starają się o podniesienie autorytetu swego lotnictwa.

* * *

A u nas? — Nie poruszajmy lepiej tego tematu — tem więcej, że mówiliśmy o tem przed tygodniem. Zanotujmy natomiast pewien objaw dodatni. Oto ukazał się album z 9 widokami lotniczemi Krakowa, pięknie wykonany, z którego dochód przeznaczony został przez wydawcę, znanego kupca krakowskiego p. Zembrzyckiego na rzecz Ligi Obrony powietrznej państwa. Oto przynajmniej propaganda daje jakiś znak życia. Dobre i to — tem więcej, że album jest ładny i gustowny



Lot naokolo świata: 4 aparaty armji amerykańskiej, które biorą udział w locie, po wylądowaniu w Seattle.
fot.: J. Grandens.

Pożegnanie posła Gibsona.

Minister pełnomocny i poseł Stanów Zjednoczonych w Warszawie p. Hugh Gibson odwołany został przez prezydenta Cooligde z Polski i mianowany przedstawicielem Ameryki w Szwajcarji.

P. Gibson bawił w Polsce od pierwszych chwil odzyskania niepodległości. Był on pierwszym przedstawicielem zagranicznym w naszym kraju. Przeżył z nami chwile najcięższe i chwile najpiękniejszych tryumfów, okazując się w dobrej i złej doli, wiernym, wypróbowanym przyjacielem naszej Ojczyzny. Ostatnio duże usługi okazał Polsce w sprawie uznania przez Amerykę naszych granic.

To też odwołanie p. Gibsona z Polski wywołało ogólny żal, a pożegnanie odjeżdżającego nacechowane było szczególną serdecznością.

Zarządy Towarzystwa Polsko-Amerykańskiego i Izby handlowo-przemysłowej amerykańsko-polskiej, zorganizowały zebranie pożegnalne na cześć swego członka honorowego, posła pełnomocnego Stanów Zjednoczonych, p. Hugh Gibsona, opuszczającego Polskę. W apartamentach Resursy kupieckiej, zgromadziło się przy stole biesiadnym kilkadziesiąt osób. Między innymi byli obecni: ministrowie Maurycy hr. Zamoyski, gen. Władysław Sikorski i J. Kiedroń, oraz szereg przedstawicieli świata dyplomatycznego, przemysłowo-handlowego i prasy.

P. prezes Leopold Kotnowski, wręczając p. posłowi Gibsonowi piękny dar pamiątkowy, opatrzony kilkunastu tysiącami podpisów, wyraził głęboki żal z powodu opuszczenia Polski przez dyplomatę amerykańskiego, który w ciągu 5 lat swego wśród nas pobytu zaskarbił sobie szczere uznanie i głęboką sympatję.

Serdecznie odpowiedział na te słowa p. Gibson. „Pięć lat jestem między wami — mówił — i zdumiony jestem, widząc to, czegoście w tym czasie zdołali dokonać. Gdym przybył, zastałem puste, odłogiem leżące pola. Dziś z radością widzę wasze pełne spichlerze. Odjeżdżam pełen sympatji dla Polski i zachowam ją na zawsze. Nie chcę tracić związków przyjaźni z wami i dlatego dziś nie mówię wam „żegnajcie", lecz „do widzenia".



Pożegnanie posła Gibsona: Minister pełnomocny i poseł nadzwyczajny Stanów Zjedn. A. P. w Warszawie p. Hugh Gibson ze swą małżonką. Fot. Sarjusz Wolski, Warszawa.



Gabinet socjalistyczny w Danji: Dotychczasowy premjer Neergard, który ustąpił miejsca przywódcy socjalistów Stauningowi — w drodze do pałacu króla, któremu wręczył prośbę o dymisję. fot.: Atlantic — Photo Co.



50 letni jubileusz kapłański czcigodnego kardynała belgijskiego Mercier, wielce zasłużonego z czasów minionej wojny. fot.: Atlantic — Photo Co.



Minister spraw zagranicznych w nowym socjalistycznym gabinecie duńskim, hr. Moltke, były ambasador duński w Berlinie. fot.: Atlantic Phot.

Tęsknota.

F. H.

Jakże ci ja opowiem, jak słowami oznaczę?
Czasem śpiewa jak piosnka, którą w lesie wiatr [płacze.

Wszędzie, wszędzie jej pełno, choć się nigdzie [nie mieści,
Słodka jest, kiedy boli, a bolesna, gdy pieści.
Pachnie kwieciem lipcowem, z łąki świeżo zer- [wanem
Błękitnieje wieczorem, liljowieje nad ranem.

Chwile w wieczność wydłuża i w sekundy je skraca,
Musi być bardzo twoja, gdy do ciebie wciąż wraca.

Biegnie cicho na palcach, płynie razem z chmurami...
Jakże ci ją opowiem, jak oznaczę słowami?

Wład. Laudyn.

Krakusi w Warszawie.

(Do ilustracyi na str. 2).

Największą atrakcją 3 maja byli – jak stwierdziła jednogłośnie prasa stołeczna – nasi dzielni Krakusi. Oto, co czytamy w „Polsce Zbrojnej“: Krakusi I jadą strojni w bajecznie kolorowych swoich strojach – kierezyje, pawie piórka, wstążki dziewcząt, wzorzyste gorsety... Warszawa zna je tylko z obrazków i teatru, więc też ujrzawszy żywą tę wieś krakowską, wybucha ku niej całą swą serdecznością, nie szczędząc jej oklasków i okrzyków.

A Krakusi jadą najpierw w banderji tradycyjnej z Teofilem Niklem z Bronowic na czele. Chyli się buława naczelnika banderji przed Prezydentem i jedzie za nią godnie 120 chłopa na koniach, użyczonych im przez 1 pułk szwoleżerów. To też na pół wojsko, więc jadą w ciszy.

Ale zaraz za nimi zawrzało życie niecodzienne: 5 wystrojonych wozów chłopskich, pełne młodzieży wiejskiej obojga płci — to sławne wesele krakowskie, brak mu tylko żydowskiej kapeli, aby po drodze przygrywała. Dokoła każdego wozu tańczy na koniach po trzech drużbów wedle zwyczaju. Na pierwszym wozie trzyma w ręce tradycyjne drzewka, ozdobione kwiatami z bibułki, starosta weselny, Piotr Krupa z Węgrzynowic, mając za starościnę obok siebie dorodną Zofję Norkową, tą samą, co to przed laty 16 jeszcze jako młodziutka Zosia Ptakówna,



Wybory w Niemczech: Agitacja wśród dorożkarzy berlińskich fot: J. Grandenz.



Wybory w Niemczech: Walka wyborcza przy pomocy afiszy. Czy zwycięży Bismarck? fot.: J. Grandenz.

córka posła ludowego ziemi krakowskiej, była panną młodą na podobnem weselu krakowskiem, które jeździło do Wiednia na jubileusz cesarski i olśniła wszystkich swoją niezwykłą urodą. Jej oblubieńcem wtedy był malarz Uziemblo.

Dziś panną młodą jest Zosia Halikówna, która jedzie na drugim wozie w wieńcu urodziwych druhen z Marysią Kolegowiczówną i Ptakówną na czele, a panem młodym jest Jasiek Słopa.

Na dalszych wozach reszta orszaku weselnego. Dziewczęta wiewają chusteczkami, parobczaki rzucają czapki w górę, a wszyscy wołają Prezydentowi: „Niech żyje!“, „Niech żyje Warszawa!“.

Za wozami koniec banderji – podem oddział kosynierów z kosami i orkiestrą, wreszcie dwie grupy kobiet i mężczyzn zamykają ten przejazd Krakusów!

Wybory w Niemczech.

W niedzielę odbyły się wybory do parlamentu w Niemczech.

W najbliższą niedzielę odbędą się wybory do ciał ustawodawczych we Francji, która będzie miała poniekąd zadanie ułatwione, wiedząc jacy ludzie weszli do nowego parlamentu niemieckiego i na jaki rząd można liczyć a tem samem jak przypuszczalnie ułożą się wzajemnie stosunki.

Dotychczasowe depesze z wynikami wyborów nie dają nam jeszcze dokładnego obrazu, w każdym razie można już dziś stwierdzić, że krzykliwe stronnictwo ludowo-narodowe, tak bardzo pewne swego zwycięstwa zdobyło jak narazie zaledwie 27 mandatów i wiele już ich zdobyć nie może. Z ogólnej liczby 450 mandatów zdobyli dotychczas socjaliści 100, stronnictwo narodowo-niemieckie przeszło 80, komuniści — na niekorzyść socjalistów, choć zawsze jeszcze b. silnych — 55, centrum katolickie przeszło 50, ludowcy 40, Hittlerowcy 27, Bawarscy ludowcy 15, reszta przypada na szereg drobnych stronnictw.

W każdym razie już dziś należy podkreślić doniosły — i dla Polski również — fakt, że skrajni nacjonaliści przegrali wybory i o wpływie ich przy formowaniu nowego rządu mowy być nie może, choć — przeczuwając zdaje się swoją klęskę — zmienili tuż przed wyborami swój bezwzględny front antitraktatowy, idąc na ustępstwa. Przez usta swoich obecnych przywódców hr. Westerpa i innych oświadczyli się za polityką wypełnienia traktatów.

Z wybitnych i znanych mężów stanu i przywódców wiadomo dotychczas, że wybrani zostali Stresseman, Kanclerz Marx, Ludendorff i Scheidemann.

Niemcy charakteryzują wynik wyborów zdaniem, że Tirpitz pobił Ludendorffa t. j., że zwyciężyli umiarkowani na niekorzyść radykalnych nacjonalistów.



Wybory w Niemczech: Kandydat a dziś już wybrany posłem kanclerz Marx przemawia przez radjo do swoich wyborców. fot.: Atlantic — Photo — Co.



Wybory w Niemczech: Przy kufelku piwa bawarskiego miło posłuchać przez ustawiony obok radjofon, mów agitacyjnych kandydatów różnych partji. fot.: Atlantic — Photo Co.

Nagły zgon Wojewody śląskiego.

†

Ś. p. Dr. Tadeusz Koncki.

Zmarły przedwcześnie dnia 2 bm. wojewoda śląski ś. p. Dr. Koncki urodził się w Łańcucie w 1878 r.; gimnazjum ukończył w Tarnowie w r. 1896, wydział prawny Uniw. Jagiell. w r. 1900, tam również w r. 1903 uzyskał stopień doktora praw. Do służby państwowej wstąpił śp. Dr. Koncki w r. 1900, pełniąc ją przy władzach skarbowych I i II instancji do r. 1905, poczem przeniósł się do administracji politycznej. Przez dłuższy czas pracował w Radzie szkolnej krajowej. W r. 1911 poruczono mu zorganizowanie starostwa w Radziechowie w Małopolsce wschodniej, gdzie też jako starosta pozostawał aż do wybuchu wojny światowej. W czasie wojny śp. Dr Koncki został mianowany komisarzem cywilnym (starostą) przy komendzie powiatowej w Kielcach. Na stanowisku tem przetrwał aż do nastania rządów polskich, z ramienia których sprawuje dalej funkcje komisarza pow. W dn. 15 lutego 1919 r. został mianowany radcą ministerjalnym w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, w roku następnym naczelnikiem wydziału organizacyjnego. Od sierpnia r. 1922 pełnił zastępczo obowiązki dyrektora departamentu administracyjnego. W październiku 1923 został kierownikiem województwa śląskiego, a w marcu b. r. został definitywnie mianowany wojewodą.

Śp. Dr Koncki był wybitnym typem urzędnika-obywatela. Za zasługi położone w służbie państwowej został odznaczony krzyżem oficerskim orderu „Odrodzenia Polski". Lubo niedługo zajmował urząd wojewody śląskiego, dał się jednak na tem wysokiem i odpowiedzialnem stanowisku poznać jako znakomity administrator, wzorowy urzędnik, przyjaciel ludności i gorący patrjota.

Przedwczesna śmierć przecięła pasmo pracowitego i uczciwego żywota wybitnego człowieka, który na każdem stanowisku świecił pracą, obowiązkowością i niezwykłemi zaletami obywatelskiemi. Cześć jego pamięci!



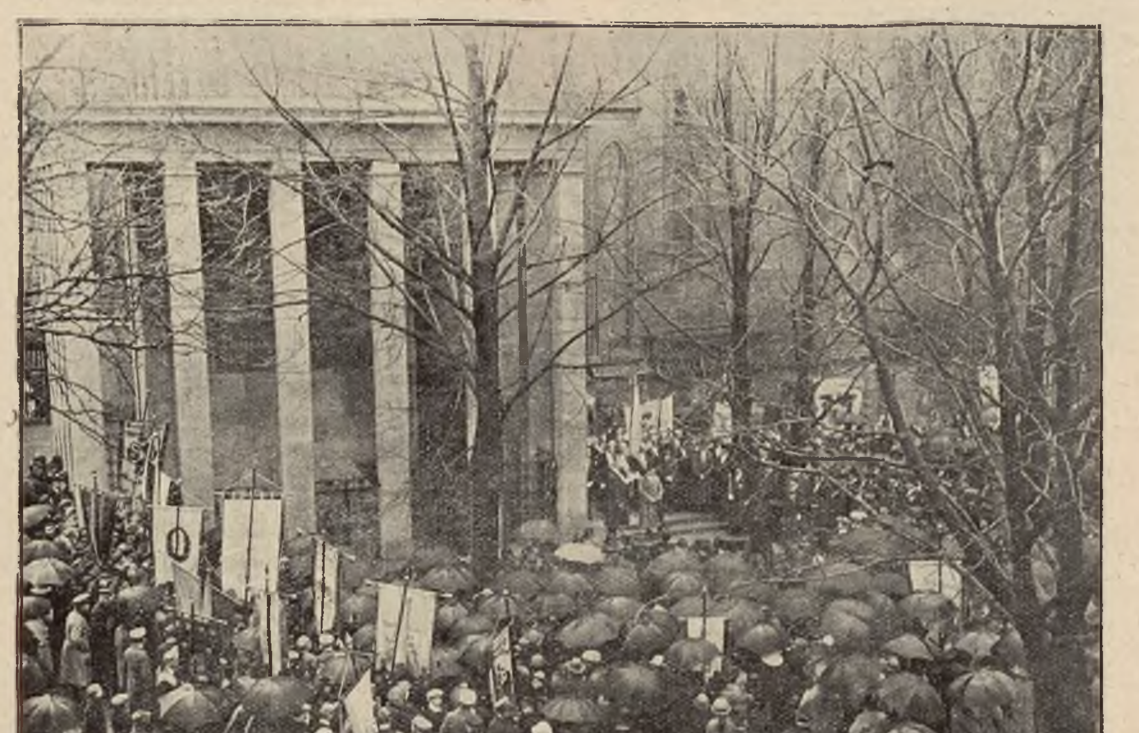
Dwóchsetny jubileusz urodzin Kanta: Przedstawiciele zamiejscowych uniwersytetów opuszczają katedrę.
fot.: Atlantic — Photo Co.



Uroczystość 200-ej rocznicy urodzin Kanta w Królewcu: Przedstawiciele organizacji studenckich udają się z kościoła na poświęcenie nowego grobowca wielkiego myśliciela i filozofa.
fot.: Atlantic – Photo - Co.



Śmierć najsłynniejszej tragiczki: Eleonora Duse, sławna artystka włoska zmarła w czasie tournée po Ameryce w Pittsburgu w 65 r. życia. Zwłoki jej mają być przeniesione do oiczyzny, której swą cudowną grą tyle sławy przysporzyła.
fot.: Atlantic – Photo – Co.



Wielkie uroczystości w Królewcu z powodu 200-e rocznicy urodzin Kanta: Tłumy publiczności przed nowym grobowcem Kanta po poświęceniu tegoż.
fot.: Atlantic — Photo Co.

Zgon Eleonory Duse.

Wiadomość o nagłej śmierci sławnej artystki włoskiej Eleonory Duse do głębi wzruszyła cały świat artystyczny i okryła żałobą całe Włochy.

Świetna artystka zmarła zdala od swej ojczyzny w czasie tournéé artystycznego po Ameryce, dokąd wybrała się, aby poprawić swoje stosunki materjalne, które mimo wielkiej sławy artystki, były bardzo nieświetne.

Lekarz i sekretarka artystki, którzy czuwali przy jej łożu śmiertelnem podają ostatnie jej słowa, które wyrzekła przed śmiercią: „Non temo la morte, ma non lasciate mi morire lungi dalla ma Italia". „Nie boję się śmierci, ale nie dajcie mi umrzeć zdala od Italji".

Nie danem było niestety wielkiej artystce ujrzeć więcej na oczy pięknej ziemi włoskiej i zamieszkać w swej willi w Asolo nad morzem. Wraca wprawdzie z Ameryki ale w trumnie — z wielkiemi honorami i na koszt państwa. Premier Mussolini sam ma zadecydować, gdzie zwłoki jej zostaną pochowane; prawdopodobnie wedle wiadomości z Rzymu na cmentarzu we Florencji przy kościele la Santa Croce, gdzie pochowany jest też nasz poeta Lenartowicz.



JEJ CHŁOPIEC

OPOWIEŚĆ Z PUSTYNI ARABSKIEJ

NAPISAŁ T. M. NITTMAN. ILUSTRACJE ALFR. ZMUDY.

9)

— Kanalja! — mruknęła do siebie. drąc list na drobne kawałki.

I znów zamyśliła się. Na czole jasnym mnożyły się bruzdy. Nie patrzał na nią nikt. Opadła więc w sobie znużona, zniechęcona, z twarzą zmiętą 40-letniej kobiety.

Wtem zaszeleściło coś pod jej rękoma. Spojrzała. To był list Jurka.

Po chwili wachania, zręcznie rozkleiła kopertę

Żołnierzyk pisał zaś:

„Daleka, Droga, Najlepsza Mateńko!

Po tylu dniach milczenia, dniach ciężkich dla mnie i strasznych, mogę z nów pogadać z Tobą, poskarżyć się, opowiedzieć Ci, dzięki jakiejś arystokratce angielskiej, która ma list mój Tobie wysłać. Jakże jej wdzięczny jestem!

A także i co do tego Czecha — pamiętasz?

Pisałem Ci o nim! — byłem uprzedzony. Bo on zajął się mną, jak bratem rodzonym. Dał mi pieniądze, sprawił ubranie, jednem słowem bardzo poczciwy człowiek. Tylko wygląd ma taki paskudny! Ale trudno, to nie jego wina, nieprawdaż? A spotkałem się z nim znowu, wiesz gdzie? U Anglików! Zdumiona jesteś? On zdezerterował, tak jak i ja Bo widzisz, nie mogłem wytrzymać z tymi szwabami! Może powiesz, żem szaleniec, że narażam się ale widzisz, to było już zadużo na mnie; zbili mnie po twarzy! Więc też wymknąłem się nocą z obozu. Wszystko ci opiszę od początku . . .

. . . .

. . . . A teraz jestem wprawdzie jeńcem angielskim — ale nie źle mi. I traktują mnie bardziej po ludzku. Boję się tylko, że mnie wyślą, gdzieś do obozu jeńców, to by było znów straszne. Oni tu Polaków nie zanadto lubią. Nie znają ich, nie wiedzą nic o nich, nie ufają też mnie!

Mieszkam w baraku, dużo tam Turków, też jeńców, schwytanych w ostatnich potyczkach. Czekają wszyscy na transport. Jeść dają licho i febra panuje. Ale Bóg, który mnie tak cudownie przez tę wymarłą pustynię przeprowadził, nie opuści mnie i teraz! Ufajmy mu!

Nic nie wiem, co w kraju! Tu mówią, że Francuzi Niemców tłuką, aż miło i że wkrótce będzie koniec wojny. Jakbym strasznie pragnął! Wtedy mógłbym wrócić do ciebie, Matuchno? Myślami obejmuję twoją kochaną głowę!

Ojciec mi się wczoraj śnił, nie wiem dlaczego, przecież ja go ledwo pamiętam!.....

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Stanęła nagle przed nim w szarym płaszczu automobilowym, w skórzanej czapie, gotowa do drogi...

— Więc pan w barakach dla jeńców?

— Tak, proszę pani, dziś tylko przekupiony podoficer dyżurny pozwolił mi wyjść i przyprowadził mnie tu nawet, bo chciałem list pani oddać!

— A czemu mi pan o tem odrazu nie powiedział?

— Pani nie pytała...

— No, dobrze już, jedźmy...

— Gdzie?

— Do głównej Komendy angielskiej... Przecież nie mogę na to pozwolić, by pana traktowali na równi z tem bydłem wschodnim. Zresztą — pan przyszedł do nas dobrowolnie. No, a więc, idziemy, kazałam już zajechać.

Jakoż w istocie warczał już przed willą elegancki samochód, w którego niklowych okuciach lśniło słońce palące.

Zgrabna maszyna dygotała lekko na wydętych kołach.

Lady Berta szybko zajęła miejsce przy kierownicy, każąc siąść Jurkowi koło siebie.

W tej chwili wyłonił się z za węgła długi Hindus i stojąc na baczność zaraportował mylady iż jest strażnikiem tego młodego.

Lekceważącym ruchem ręki uspokoiła jego obawy i zabrała go również do wozu.



Za chwilę auto hucząc wytoczyło się za bramę i pędem biedz poczęło zapylonym gościncem.

Jurek patrzył z zachwytem na swą towarzyszkę, która z męskim prawie rozmachem prowadziła motor.

Puszyste loki uciekały z pod kaszkietu, a wiatr wydymał je, niby flagę.

Lecieli tak szybko, że ledwo miały czas umknąć z pod kół półnagie dzieci arabskie, a tumany kurzu kłębiły się za niemi, niby ogon potwornej bestji.

Chłopiec podziwiał odwagę i zręczność szoferki, która nie zwalniając tempa wykręcała autem w wąskich uliczkach Basry, pełnych ludzi strwożonych, przeraźliwym jękiem syreny rzucanych o ściany domów.

Wreszcie wyjechali na placyk ze skwerem, na którym nieruchome szkoty pełniły wartę przed Sztabem.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

I odtąd zaczęły się dla Jurka dnie dziwne, dnie rozkoszne i męczące zarazem.

Upojony aromatem bujnego wschodu i czarem pięknej kobiety, która rozsiewała wszędzie gdzie tylko stąpiła swój osobliwy zapach, zatracił chłopiec wszelkie poczucie rzeczywistości.

Godziny spędzone w pobliżu pani Berty, mijały mu niepostrzeżenie, a te zaś, zdala od niej dłużyły mu się nieznośnie.

Osobista interwencja Lady Woorms podziałała piorunująco i zmieniła odrazu stanowisko Jurka.

Z nieznanego — jeńca wojennego, trzymanego w fabrycznych barakach — stał się człowiekiem wolnym, „Our polish friend“ (nasz przyjaciel Polak) mówili o nim Anglicy.

Dla pozoru spełniał jakieś tam funkcje przy sztabie, płacili mu za to i traktowali nieomal jak równego sobie.

Tubylcy z którymi się w tej nowej służbie spotykał, służba kolorowa w pałacu gubernatora — tytułowali go przez „Master“.

Codziennie widywał się ze swoją opiekunką i wstęp do jej apartamentów miał wolny o każdej porze.

Towarzyszył pani na spacerach, bądź to konno, bądź w aucie, którem z szaloną szybkością połykali niezliczone kilometry dalekich dróg pustynnych.

Mylady lubiła pasjami te zawrotne jazdy. Jurek oswoił się też wkrótce z karkołomną jej namiętnością i niewymowną sprawiało mu rozkosz siedzieć obok niej przy motorze, gdy wszystko migało tylko koło nich. Nigdy nie miał dosyć patrzenia na nią, jak zręczną ręką kręciła korbą maszyny.

Były też i chwile przykre. A to wtedy zwłaszcza, gdy bywali goście. Przeważnie oficerowie i urzędnicy cywilni, czasem ktoś z konsulatów obcych, lub jakiś znaczniejszy mieszkaniec Wschodu. Na przyjęciach takich kobiety nie bywały prawie wcale.

Ośrodkiem i duszą zebrania była zawsze Berta.

Piękna, ożywiona, ruchliwa ściągała na siebie pożądliwe oczy wszystkich mężczyzn.

Najzawzięciej jednak patrzył na nią pewien lotnik — amerykanin, młody — przystojny chłopak o ciemnej cerze a oczach jak woda i włosach, koloru lnu.

Chętnie też przysiadała się do niego urocza pani domu i długo szeptali i chichotali ze sobą.

Jurek cierpiał. Nie chciał się tam patrzeć, odwracał się, nauczył się nawet pić i pochłaniał koniaki z lodem jeden za drugim. Jednak korciło go coś, ciągnęło i szeroko otwartemi oczyma wwiercał się w jasną główkę Mylady.

Ona widziała ten błagalny wzrok, pełen bólu i zdawało się to sprawiać jej przyjemność.

Flirtując z ożywieniem z innym, słała temu tam, w drugim końcu pokoju, uśmiech słodki i niewinny, uśmiech tak rozbrajający.

A Jurkiem szarpała nadzieja i rozpacz, smutek, to znów radość. Nieraz zadawał sobie pytanie:

— Czyżbym był zakochany?

I wstydził się przyznać do tego sam przed sobą.

Przecież to już starsza kobieta: Nie ma sensu! I tak wkrótce pojadę stąd, skończy się wszystko.

Ale na myśl o tem dziwnie ściskało mu się serce!

Ona mimo wszystko była taka młoda, taka powabna! I czuł, że tak szybko się to nie skończy!

Lady Berta miewała też swoje złe dnie. Wtedy zamykała się w swym błękitnym buduarze i nie dopuszczała do siebie nikogo. A wówczas biały pałacyk zamierał. Służba chodziła na palcach Chart wył po nocach. Jurek łaził z kąta w kąt, lub też szedł do jakiejś portowej kawiarni i w pstrym zgiełku marynarzy i tybulców szukał zapomnienia w alkoholu.

Przybladł, wyciągnął się, choć rozrósł w barkach. Oczy jego zuchowate powlokły się mgłą melancholji. oczy jego jasne przybrały ponury cień namiętności i rozgorączkowania.

Szybko i bez trudu uczył się po angielsku, wszędzie naokoło siebie bowiem słyszał ten język. Wkrótce mógł już od biedy czytać gazety. A wieści ze świata przychodziły dziwne.

I wtedy dowiedział się...

Było to to raz, w bardzo upalne południe. Właśnie ukończył swą służbę, gdy w ręce mu wpadł urwany kawałek dziennika. Wsadził go do kieszeni i szybko podążył do willi Lady Woorms.

— Mylady cierpiąca. Nie przyjmuje nikogo! — oświadczył murzynek.

— Nawet mnie?

— Nawet pana nie!

Cóż robić? Wyraźny rozkaz.

Zły, gwizdnął na charta, z którym łączyły go już węzły zażyłej przyjaźni i rzuciwszy się na bujający fotel na terasie wyciągnął zadrukowany arkusz i począł czytać.

W miarę zagłębiania się w lekturę, wzruszenie jego rosło.

Nagle zerwał się, chwycił psa i przytulił go do piersi. Przerażone zwierzę zaskowytało z cicha.



W jakiejś portowej i nabrzeżnej kawiarni...

— Ach, durne z ciebie bydlę! Nic nie wiesz, nic nie rozumiesz!

— Hau! Hau! — szczekał chart.

— Wojsko Polskie! We Francji... Haller tworzy... Po tylu latach... Ochotnicy zgłaszają się tłumnie... Wszystkie bronie: Artylerja i piechota, jazda... Każdy Polak niech spieszy do szeregu!

— No cóż głupi „Ramzesie“? Jadę! Rozstaniemy się! Trudna rada! Cieszysz się? Jadę do Europy! Wracam do kraju! Już w polskim mundurze! Hura!!

— Gdzieszty się tak wybierasz mały? — rozległ się nagle poza nim słodki, dobrze mu znany głos.

Oglądnął się. W drzwiach, o futrynę oparta stała Lady Berta w powiewnym kimono z surowego jedwabiu. Oczy jej w ciemnych obwódkach świadczyły o przebytej migrenie

Jedną ręką, długą i wąską, z liljowemi żyłkami, przetrzymywała wolno związane włosy, drugą wyciągnęła ku niemu.

...... Francja... Haller,.. Wojsko Polskie... Ojczyzna... Wszystkie obrazy, które zabłysły przez chwilę w jego entuzjastycznem sercu, zbladły, zmalały i uciekać poczęły gdzieś w przestrzeń, w niepamięć, w otchłań zapomnienia.

Została tylko ona i jego miłość.

Patrzał na nią chwilę iskrzącym wzrokiem a potem przypadł do jej rąk, całując długo, gorąco.

— Nie, nie trzeba, jestem taka osłabiona!

Ale równocześnie — serce w nim zamarło ze szczęścia! — palące usta musnęły jego kark. Zerwał się, chwycił ją w ramiona i przycisnął do piersi...

— Nie, nie! krzyknęła nie swoim, szorstkim tonem i chwyciwszy dłoń jego w żelazny uścisk wyrwała mu się i uciekła.

A on stał bezradny, z rozkrzyżowanemi ramionami i spoglądał za nią.

— Odjechać od niej? Nigdy! Nie mam sił! Nie potrafię!

Ukląkł i złożył ręce, jak do pacierza:

— Szczęście moje! Radości! O ty!..

— Co pan wyrabia! Proszę wstać i przyjść tu na kieliszek likieru! — zabrzmiał głos jej z wnętrza domu.

— —

Późno w nocy wrócił Jurek do swej kwatery. Na ustach czuł słodkawy zapas jej palców, w oczach drgał mu jeszcze szeleszczący biały jedwab jej kimona.

Krew waliła uporczywie pod skronią, w głowie miał upajający chaos...

Coś, niby dreszcze, mimo noc upalną, przebiegało mu przez ścięgna nóg, przez krzyże, plecy, ramiona.

Gwiżdżąc jakąś zasłyszaną arję wbiegł przeskakując parę schodów naraz do swej izby. Oślepiająco białe światło pełni księżycowej lało się z za okna na ciemne dyle podłogi. Kąty mieszkanka jego tonęły w mroku.

Namacał zapałki, zaświecił światło, zasunął muślinowe firanki.

Usiadł przy stole i podparł głowę rękoma.

Tysiąc myśli krzyżowało mu się w mózgu.

— Czy był szczęśliwy?

— Zapewne!

Ale jednak — coś go w tem wszystkiem niepokoiło, coś mu psuło harmonję i urodę jego uczucia.

Co to było? Męczył się sam ze sobą: Nie wiedział.

Jakaś niewidzialna a nieodparta siła popychała go w objęcia tej kobiety, kazała zapomnieć o całym świecie Równocześnie jednak jakiś instynkt daremnie dotąd zwalczany, szeptał od chwili do chwili:

— Strzeż się jej! Te oczy zbyt błękitne, ten uśmiech zbyt niewinny, ten wyraz nazbyt naiwny przy jej latach. Strzeż się Jurku, strzeż! Pod tą twarzą czaji się — zdrada!

Pamiętaj, ojca twego zgubiła kobieta! Pamiętaj! Nie idź w jego ślady. Nie oddawaj się w ręce tej, której od prawieków kłamstwo na imię.

Ale za moment przeszył go znów jakby prąd elektryczny. Chłopiec silniej ścisnął pięściami głowę.

Nie, nie! To nieprawda! Te jej usta nie mogą kłamać!

Głos wewnętrzny ucichł i przepadł w płomieniach burzy, która miotać poczęła jego zmysłami.

Podniósł ciężko powieki. Wzrok jego padł na szarą ćwiartkę zaczętego listu.

„Kochana mamo! — wołało na niego jego własne pismo. — Wybacz, że tak długo nie pisalem, ale jestem bardzo zajęty...“

Jawny fałsz powiał na niego z tych słów.

Wstydząc się sam siebie podarł kartkę.

Umoczył pióro i nakreślił szybko kilkadziesiąt zygzaków.

Przeczytał.

„Droga mamusiu! Jestem straszny leniuch i tak dawno do ciebie nie pisałem, ale...“

— Nie. nie. Jeszcze nie to!

Pd raz trzeci zaczął:

„Najdroższa Kochańciu! Od wielu dni zbieram się na pisanie do Ciebie, ale dotychczas...

I to jeszcze nie brzmi szczerze!

A tak by chciał napisać jej najczulej, najserdeczniej. jak tylko można, z głębi serca. Pocieszyć ją, dodać odwagi, uspokoić! — Tak by pragnął listem swym przesłać jej garść bodaj tego słońca, które płonie nad jego głową codziennie.

„Matuchno moja“ szeptał, trzymając bezwładnie pióre w sztywnych palcach.

Nagle zamąciło księżycową ciszę dalekie, żałosne wycie psa.

Jurek rozerwał firankę i wychylił się przez okno. Górą niebo miesiącem zalotne, dołem — palmy szumią tajemniczo.

Nadsłuchiwał. Nic. Cicho pozatem. Nagle znów to dalekie skomlenie.

— To „Ramzes“ mój wyje — tęskni może za ojczyzną?

W jednej chwili zsunął się na dół po poręczach i biegł nie myśląc już o niczem do uśpionej, białej willi, pod jej okna...

A w pokojiku jego na górze, chwiał się żółty płomień świecy nad zaczynanym od tak dawna już listem do matki... (C. d. n.)

LISTY ZE LWOWA

(W „Malströmie" lwowskich wydarzeń — „Je cherche après Titine" czyli „Nazywam się Titine" — Monsieur Leo Daniderff robi furorę we Lwowie — Łątki lwowskie — Żona Hassana Agi — Dlaczego poniewiera się po scenie śp. Ogrizovic — Sezon footballowy ożył w całej pełni — Lwowianin na matchu być musi — Nie dziwcie się więc — Zdjęcie z natury — Spostrzeżenia lwowskiej stacji meteorologicznej). *Rysunki Alfreda Gürtlera.*

Już trzy tygodnie minęły od czasu, gdym ostatnie „Listy" nadesłał, a mnie się wydaje, że to dopiero chwilka. W „Malströmie" lwowskich wydarzeń mijają trzy tygodnie, jak z bicza trzasł, a człowiek zmuszony do zanurzania się w odmętach współczesnego życia nadpełtwiańskiego, przekonuje się, że zanim zdążył się zanurzyć, już wypływa na karku wzburzonych bałwanów lwowskich o kilka tygodni dregi od miejsca zanurzenia się. Pływak taki z przerażeniem konstatuje, że w kalendarzu minęła spora ilość tygodni, że kostjum nurka w który był przybrany jest potargany zębami swojsko chowanych rekinów w miejscu, które w czasie pływania znajduje się najbliżej powierzchni wody, że szlam i bagno czepiły się jego grubo podkutych butów i że — co najgorsza — trzeba znowu rzucić się w odmęty i zachłystując się, przepłynąć tę samą drogę w towarzystwie tych samych bałwanów.

To jest okropne!... A jednak jest to konieczne dla człowieka, który w chwili zaćmienia umysłowego niebacznie się zobowiązał do pisywania feljetonu ze Lwowa. Wyparskuję więc wodę, otrząsam się z niedawno przebytej kąpieli i znowu zanurzam się w pełtewnej cieczy, aby niewdzięczną pracą nurka wyłowić kilka perełek lwowskich.

Więc przedewszystkiem: „Titine"!... Ta perła muzykologji nadsekwańskiej, przetransportowana na grunt nadpełtwiański zaprzątuje obecnie umysły całego muzykalnego Lwowa. Przed witrynami księgarń, gdzie wystawiono oryginalny tekst „Tityny" oraz fotografję jej twórcy, monsieura Leona Daniderffa wystawają ogonki z pań w modnych paryskich kaskach, projektowanych w magazynie „A la ville de Paris" Jenty Kapuzinerduft, oraz ogony panów w zwężających się ku dołowi spodniach, półbucikach „shimmy" i skarpetkach à la Tutankkahane.

„Je cherche après Titine!" — rozlega się zewsząd w przekładzie „eines gewissen Herrn Willy aus Warschau", który po polsku brzmi (przekład, a nie pan Willy!) mniej więcej w ten sposób:

„Nazywam si Titine
Ach, ja kocham ci Titine
Titine ty, Titine
Ach Titine ty Titine
Titine ty Titine"...!

I tak „usque ad finem": Titine, ach Titine...



Rys. A. Gürtler.

A z za witryny patrzy uśmiechnięta i uduchowiona twarz kompozytora „Titiny" monsieur Leo Daniderffa, o którym, bawiąc we Lwowie w ważnej misji dyplomatycznej, pewien fryzjer z Czerniowiec twierdzi, że zna go osobiście z Horodenki, z tych czasów kiedy się jeszcze nazywał Leoś Parchdorf.

Czasy się zmieniają! Mac Donald i Louis Hammerling też nie byli dawniej tem, czem są dzisiaj!

Leo Daniderf zdobył swoją „Titiną" *tout Leopol!*

Nad miastem spowitem w opalowe mgły majowej jesieni i rozdzwonionem akordem deszczu ściekającego rynnami, góruje symfoniczna i kulturą Zachodu dysząca pieśń: „Nazywam si Titine"... „Rèpertoire Campion, Demimonde et Foriès" święci we Lwowie trjumfy!...

Rzeczy zaś o prawdziwej wartości artystycznej; imprezy nie łechtające lubieżnie naskórków spasionych kołtunów lwowskich lub nie schlebiające najniższym instynktom powojennego mobu lgnącego, do cyrku, kabaretu i pornograficznego filmu, są we dwoje prawie z góry skazane na fiasko i zagładę.

Los ten o mało co nie spotkał *imprezy* zainicjowanej i z uporem przeprowadzonej przez grupkę młodych literatów lwowskich, którzy w przystępie humoru stającego na głowie i zwarjowanej chęci nagadania swoim ziomkom grubszyph impertynencyj, napisali 3 akty „Łątek lwowskich". Owe to łątki lwowskie, przypominające najlepsze tradycje literackich teatrzyków marjonetkowych nie zyskały już w czasie drugiego przedstawienia aprobaty kołtuna lwowskiego, nie lubiącego słuchać o sobie przy „panie tego szerszej publiczności" i przedstawienie zostało odwołane. Teraz „Łątki lwowskie" święcą istne trjumfy. Aplauz i uznanie jakiemi przyjęte zostało pierwsze wystawienie łątek przez elitę umysłową Lwowa zaproszoną na inaugurację tej imprezy, przełamały zakulisowe machinacje obrażonych „wielkości" lwowskich i zapędy reporterów gazeciarskich przygotowujących się do generalnego lania kubłów pomyj na głowy autorów „Łątek".

Piątka autorów: Hemar, Laudyn, Nitman, Zahradnik i Skalski, oraz twórca figurynek art-malarz Kostynowicz mieli faktyczne szczęście, że wpadli na pomysł urządzenia pierwszego przedstawienia dla publiczności umiejącej krytycznie słuchać i patrzeć i pozyskawszy sobie w ten sposób uznanie ludzi kompetentnych, sparaliżowali zakusy wandalów lwowskich, czyhających na sposobność plądrowania wśród dóbr ducha ludzkiego i skarbów cudzej kultury.



Rys. A. Gürtler.

„Łątki lwowskie", czyli „Trzy akty na złość ludziom" to impreza o dużych walorach artystycznych, za którą autorom należy się wdzięczność.

Mniej szczęśliwy pomysł miała Dyrekcja teatrów miejskich wystawiając jakieś przedpotopowe sztuczydło jugosłowiańskiego autora pt.: „Żona Hassana Agi", na którem połowa publiczności nie mogła zmrużyć oka, gdyż druga połowa za głośno chrapała.

Ci, którzy zasnąć nie mogli, obserwowali przez trzy godziny żonę Hassana Agi, panią Hassanagicę, która plątała się po scenie wśród kupy małych dzieci własnego chowu, do których mówiła białym wierszem, płacząc lub wyjąc w antraktach.

Mówią, że autor tej sztuki pan Milan Ogrizowic już nie żyje, gdyż w kilka dni po ujrzeniu swej sztuki w teatrze amatorskim w Banjaluce umarł na żółciowe kamienie. Dlaczego Dyrekcja lwowskich teatrów nie daje w grobie spokoju śp. Ogrizowicowi i szarga jego dobre imię po deskach scenicznych, pozostaje to dla ogółu zagadką. Gdyby choć tę sztukę można było zagrać w kożuchach, krypciach i łykowych kamaszach drwaciarzy jugosłowiańskich, co nie wymaga wkładów, ale wystawiać „Żonę Hassana Agi" w kostjumach i wśród dekoracyj wymagających miljardowych wkładów, perskich dywanów, statystujących dzieci z całego miasta i przekładu pani Pogonowskiej, jest przedsięwzięciem więcej jak niepotrzebnem!

Pani Pogonowska, tłumaczka tej „sztuki" ma szczęście, że autor nie żyje. Mam wrażenie, że doszłoby do grubej scysji między nią a autorem z powodu haniebnego tłumaczenia. A wiadomo, że Jugosłowianie w gniewie są straszni.

Dużem powodzeniem natomiast cieszy się w Teatrze Małym sztuka Andrejewa „Myśl" wyreżyserowana znakomicie przez utalentowanego reżysera tut. teatrów Edwarda Żyteckiego.

Z innych nowości zanotować należy, iż sezon matchów footballowych rozpoczął się w całej pełni. Kilka razy w tygodniu rozgrywają się najrozmaitsze *matche,* w czasie których gracze tracą mniejszą lub też większą ilość zębów; zależnie od temperamentu graczy, i sprężystości piłki. Sążniste afisze zapowiadają po dwa do trzech tuzinów „meczów" w niedzielę i święta, na których szanujący się lwowianin być musi, jak na „dwunastówce", na korsie, na flaczkach i na wzmocnionej Baczewskiego.



Rys. A. Gürtler.

Lwowianin na „meczu“ być musil jeśli nie oficjalnie na boisku, to przynajmniej na dachu domu sąsiadującego z boiskiem, na parkanie lub na kominie. Drzewa od korzeni po sam czubek wierzchołków zajmują prawem „zasiedzenia się“ i tradycji uczniowie wszystkich zakładów naukowych z prawem publiczności we Lwowie, począwszy od I A do VIII-mej B.

Na opłacenie wstępu nie stać nikogo z ludzi, którzy nie zajmują się zawodowo rozbijaniem kas ogniotrwałych. Ceny ustalone za bilety wstępu na boisko modnej we Lwowie „Pogoni“ są tak horendalnie paskarskie, że dziwić się tylko należy, iż znachodzą się jeszcze amatorowie „meczowi“.

Match footballowy jest we Lwowie wydarzeniem wielkiej wagi w którem prawie cały Lwów bierze żywy udział. Przegrana „Pogoni“ staje się klęską, która głęboko sięga w serca i trzewia całego miasta; wygrana napełnia je dumą i radością. Nie należy się też dziwić, jeśli po rozgrywce meczowej wpadnie do kawiarni jakaś dziewica z rozwianym włosem i z obłędem rozpaczy w oczach, wołając na cały głos: „2 do 6 na korzyść Hamanji“, lub też „Wackowi złamali „Slovane“ ostatnie żebro!„.. Należy też być wyrozumiałym jeśli jakiś obcy pan z rozpromienioną twarzą złapie cię na ulicy i krzyknie ci z całej siły rozradowanej duszy w samo ucho: „3 do 0 na naszą korzyść; bramkarza madziarskiego zabrali do szpitala!“...

Lwów lubuje się w footballu i uwielbia swoich graczy.

Czyż dziwicie się teraz, jeśli w pogoni za wiernem odźwierciadleniem obrazu tego miasta, zaryzykowałem uprosić Gürtlera, aby dla „Nowości“ zilustrował lub zfotografował jeden z momentów ostatniego *matchu* między „Pogonią“, a węgierskim klubem „Vasas“?...



Rys. A. Gürtler.

Jak się ów sympatyczny malarz wywiązał ze swego zadania, niech zaświadczy powyższa rycina robiona z natury w momencie, kiedy prawy łącznik „Pogoni“ wywichnął jednemu z lewej obrony „Vasasu“ prawą nogę, a z rzutu karnego strzelił prawy napad lewą nogą w centrum malarza i aparatu fotograficznego.

Na zakończenie niniejszego listu podzielę się z wami radosną nowiną, iż z obserwatorjum astronomicznago tut. uniwersytetu zauważono w tym tygodniu dwie gwiazdy na niebie, oraz skrawek pogodnego nieba. Niesłychany ten w maju fakt, wywołał duże zaniepokojenie w sferach metereologicznych, a znawcy nawet twierdzą, że wbrew wszelkim prawom przyrody gotowiśmy w ciągu miesiąca maja ujrzeć we Lwowie skrawek słońca przy użyciu silnego teleskopu lub okopconego szkiełka.

Lwów, w maju 1924. *W. Raort.*

„Medea“ w teatrze krakowskim.





Miejska scena im. Słowackiego wystąpiła ostatnio z niezwykłą premierą, jest nią „Medea“ Eurypidesa, która dzięki świetnej kreacji p. Wysockiej i jej znakomitej inscenizacji utworu ożyła po 2355 latach, zajmując jak przed wiekami widownię. Pomysł okazania dzisiejszej publiczności nieśmiertelnego arcytworu poezji greckiej okazał się trafnym, gdyż cała krytyka krakowska przyjęła go entuzjastycznie podkreślając ze słuszną dumą, iż takie przedstawienia podnoszą i stawiają repertuar naszego teatru w rzędzie pierwszych w Polsce i kierowanych poważną myślą społeczną i artystyczną. Do wielkiego sukcesu „Medei“ przyczynił się chór zinscenizowany niezwykle pomysłowo przez reżyserkę p. Buczyńską. Nie był on — jak dotychczas martwym komentarzem do piłowatych tyrad bohaterów, lecz plastycznie, rytmicznie i wokalnie współżył z akcją tragedji, u nas także bardzo żywą, dyskretnie podkreślając każdy ważniejszy jej moment.

„Medea“ to co się zwie walny sukces miejskiej sceny, która dzięki olbrzymiej i udałej pracy p. Wysockiej przysporzyła sobie poważną pozycję w tegorocznym bilansie repertuarowym. Obok znakomitej tragiczki w roli tytułowej doskonałe kreacje tworzyli pp. Bracki, Białoszczyński, Kułakowski, Szymański oraz prawie wszystkie panie zespołu z pp. Kosmowską, Żmijewską, Klońską i Buczyńską na czele.

Wycieczka rumuńska w Krakowie.

W dniach 23 i 24. b. m, gościła w naszych murach wycieczka nauczycieli i uczniów królewskiego liceum „Spiru Haret" z Bukaresztu. Goście rumuńscy w liczbie 43 przybyli z Bukaresztu via Lwów pod kierownictwem szefa sekcji z ministerjum oświaty w Bukareszcie p. Sefterin 9 profesorami i opieką trzech delegatów naszego ministerstwa oświaty i spraw zagranicznych. Wycieczka w ciągu całego pobytu na ziemiach polskich jest gościem rządu, przyjmowana oficjalnie. Zwiedzała ona Polskę kolejno: oprócz Lwowa i Krakowa Katowice, Łódź, Poznań i Toruń, wreszcie w dniach 1, 2, 3 maja była w Warszawie. Kraków zgotował gościom rumuńskim niezwykle serdeczne i manifestacyjne przyjęcie. Wszystkie szkoły średnie z muzykami witały gości na dworcu poczem po przemowie Kuratora Owińskiego i Dyr. Mikulskiego w pochodzie poprowadziła młodzież Rumunów do miasta, gdzie przez oba dni byli przyjmowane przez Ministerstwo, Kuratorjum Okr. Szkolnego krakowskiego, Towarzystwo N. S. W. i prezydja Komitetów rodzicielskich z ramienia których to czynników zajmował się całem przyjęciem prof. W. Rutkowski W pierwszym dniu pobytu odbyło się oficjalne przyjęcie w muzeum narodowym, uroczyste przedstawienie i owacja w teatrze miejskim na cześć Rumunów poprzedzone przemówieniem Dr. Sroczyńskiego, następnie akademia w auli Uniwersytetu i wykład Dr. Flacha. W drugim zaś dniu po zwiedzeniu miasta, zjazd do salin wielickich oraz wieczorem bankiet raut w Starym Teatrze gdzie wygłoszono cały szereg przemówień. Całe przyjęcie nacechowane było niezmierną serdecznością oraz wystawnością i zrobiło na gościach imponujące wrażenie czego wyraz niejednokrotnie dawali. Z okazji powyższej wycieczki dajemy fotografję gości rumuńskich w chwili zjazdu do Salin.



Wycieczka rumuńska w Polsce. Grupa profesorów i studentów rumuńskich przy zwiedzaniu Salin w Wieliczce. (x) dr. Sefteriu przedstawiciel rumuńskiego ministerjum oświaty; (xx) starosta wielicki Meixner i (xxx) naczelnik Salin radca Dawidowski.



Z pięknych uroczystości Lwowa: Poświęcenie kamienia węgielnego pod dom funkcjonarjuszów miejskich w obecności wojewody Zimnego jen. Malczewskiego i prezydenta miasta Neumanna.
fot.: M. Münz, Lwów.

Poświęcenie sztandaru ochotn. straży pożarnej „Sokół".

Lwów, w maju,

Donoszą nam ze Lwowa:

Z wielką uroczystością odbyło się w niedzielę dn. 27 kwietnia br. poświęcenie nowego sztandaru Tow. ochotn. straży pożarnej „Sokoła lwowskiego".

Mszę św. celebrował ks. arcybiskup Twardowski, a w ceremonji uczestniczyli przedstawiciele najwyższych władz rządowych i miejskich, delegaci Stowarzyszeń i Korporacji oraz wszystkie organizacje strażackie. Po skończonej Mszy św. ks. arcybiskup po wygłoszeniu podniosłej mowy dokonał poświęcenia sztandaru. Nastąpiło wbijanie gwoździ do drzewca przez rodziców chrzestnych i delegatów. W długim poczcie rodziców chrzestnych wystąpili pp. wojewoda Zimny, prez. Neumann, prez. sądu Czerwiński, gen. Jędrzejewski, prez. kolei Barwicz, wice-prez. dr. Stahl, ks. Lubomirski, prez. Laskownicki, r. dr. Rucker, r. Sudhof, pp. Lubomirska, Neumannowa, Jędrzejowiczowa, Laskownicka, Michalska, Morawiecka, Obtułowiczowa, Gaudiowa, Poratyńska i in.

Po skończonej ceremonji kościelnej organizacje strażackie ustawiły się na placu przed kościołem, a prezes straży ochotn. „Sokół" p. Walery Włodzimirski po przemówieniu oddał sztandar w ręce naczelnika organizacji p. Cetnera, orkiestra odegrała hymn narodowy, poczem nastąpiła defilada wszystkich organizacji strażackich przed nowym sztandarem, a nakoniec pochód ulicami miasta pod pomnik Mickiewicza.



Poświęcenie sztandaru ochotniczej straży ogniowej we Lwowie: pośrodku grupy pplk. Baczyński, radca Włodzimirski i komendant Cetner. Fot. M. Münz, Lwów.

Marja Czerniawska.



Od dłuższego czasu występuje w Operetce krakowskiej i cieszy się coraz większym sukcesem młoda bardzo utalentowana siła, której pełna wdzięku gra i doskonała mimika rokuje jaknajwiększe nadzieje i wzbudza jaknajwiększe zainteresowanie. Po skończeniu szkoły muzycznej i kursów dramatycznych w Kijowie, rozpoczyna p. Marja Czerniawska karjerę sceniczną występami w teatrze w Krasnojarsku, poczem przez dwa lata grywa w operetce w Tomsku pod dyrekcją głośnego w Rosji i ogólnie znanego p. Kułakowskiego. Z wybuchem wojny po długich tarapatach i niewoli bolszewickiej dostaje się do 5-iej syberyjskiej dywizji i grywa w utworzonym na froncie teatrze Kadena.

Po skończonej wojnie przyjeżdża do Krakowa, gdzie zostaje zaangażowana przez dyr. Poleńskiego, zwracając na siebie odrazu uwagę w doskonale odtworzonej roli w „Kapłance Ognia".

Po objęciu Operetki przez związek artystów zostaje primadonną operetki, występując w głównych rolach jako Laura w „Palestrancie", wyróżnia się wybitnie jako Katja w „Katji tancerce", wreszcie bardzo charakterystycznie w ostatniej przez siebie kreowanej sylwetce Madame Pompadoure, wzbudzając tą kreacją całkowite uznanie krakowskiej publiczności

Stella Bursówna tancerka mimeoplastyczna

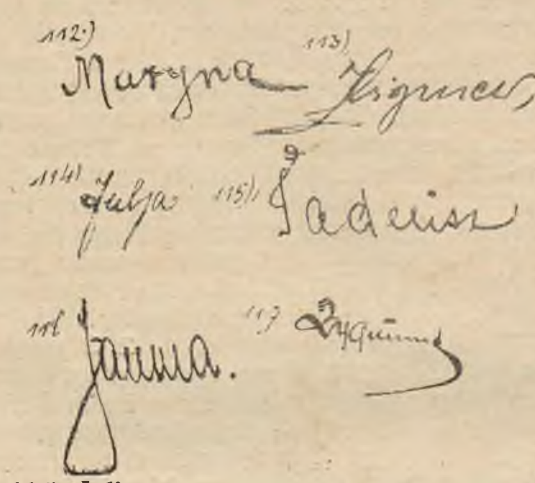
Sztuka styl zowanego tańca, zdobywa w obecnej dobie coraz więcej adeptek ukazujących się na estradach koncertowych bądź też na deskach scenicznych a zyskujących coraz więcej zwolenników wśród szerokich kół interesujących się sztuką odtwórczą Grono adeptek mimeoplastyki powiększyła p Stella Bursówna, występując na wieczorze urządzonym na scenie krakowskiego Kasyna wojskowego w gronie kilku doskonale przygotowanych uczennic. Zgrabna, młoda, wysoce utalentowana tancerka o nader korzystnych warunkach zewnętrznych przedstawiła szereg scen mimeoplastycznych i tańców stylizowanych, zyskując uznanie i oklaski licznie zgromadzonych widzów.



Stella Bursówna.

Dział Grafologiczny

pod kierunkiem Instytutu pismoznawstwa i psychologji stosowanej, **prof. Gralskiego, Kraków, ul. Batorego 25.**



112) **Maryna** jest naturą nawskróś prymitywną, jeszcze nie bez dźwięku naturalności i niedoświadczonej bezpretensjonalności ale już zarysowuje się skłonność do przesady histerycznej. Zasadnicze zdolności praktyczne.

113) **Zbigniew** jest silnie zmanierowanym charakterem, o znacznej impulsywności czuciowej ale bez perspektywy duchowej. Umysł wprawdzie twórczy ale naukowo nie opanowany a sercowe cechy miękkie ale przedel katnione i forsowane.

114) **Julja** posiada dużo dźwięku kobiecości, dużo delikatności kulturalnej i towarzyskiej ale zasadniczy brak opanowania formalnej strony życia w sensie świadomym czyni ją sentymentalną, drobiazgową, sztuczną i nielogiczną.

115) **Tadeusz** jest to umysł jasny, szeroki, intuicją obdarzony, artystycznie zainteresowany, uczucie wykazuje dużo równowagi i piękna wewnętrznego, tylko wola jest słaba i zniewieściała.

116) **Janina** jest typem nowoczesnej niewiasty w dobrym i złym tego słowa znaczeniu. Pensjonarskie wychowanie, szablonowy typ wykwintnego życia codziennego i nudy światopoglądowe czynią umysł i serce, z pochodzenia już inteligentne, biernemi.

117) **Zygmunt.** Opisując ten dziwny typ człowieka po raz wtóry, dodaję, że jest to typ człowieka niemniej oryginalnego jak dziwaka, który swej fantazji pozwala modlić się do swego rozumu i pomniki swej energji stawia - a przecież wszystko to jest pozorem i słabością.

Aforyzmy i paradoksy.

Najohydniejszy handel żywym towarem uprawiają — politycy.

* * *

Od dojrzałego owocu kultury — do zgnilizny degeneracji — to tylko jeden krok — jak przy każdym owocu.

* * *

Ludzie tak się wyczerpują gonitwą za szczęściem, że im nareszcie uchwycony dorobek na wypoczynek po owej gonitwie nie wystarcza.

* * *

Bibułą banknotową najprędzej wysuszysz plamy na honorze.

* * *

Trudniej niż zapamiętać jest... zapomnieć.

* * *

Są tak starożytne meble, że ich już żaden amator nie kupi.





Reforma walutowa w Rosji sowieckiej:

1) 35.000 pudów czyli 560 ton starych carskich monet miedzianych zostały przewiezione do piotro — a raczej lenin.-grodzkiej mennicy dla przetopienia na nowe sowieckie monety. 50 sań było zajętych przez dwa dni i tyleż nocy transportem na stację kolejową.

fot.: J. Grandenz.

ROMAN DĄBROWSKI.

ELIKSIR ŻYCIA

Poemat wschodni prozą.

Szumią sennie, szemrzą marząco, gwarzą monotonnie, wzdymając westchnieniami swe łona błękitne fale Gangesu, Indji rzeki świętej. Leniwo, wolno, ospale toczy się Ganges święty, Nil Indji — odwieczna rzeka, która pamięta czasy, gdy Brahma przemożny ptaki, zwierzęta i człowieka życiem obdarzył.

Gangesie! Gangesie! Ileż tajemnic, ileż baśni kryjesz w sobie. Do snu cię kołyszą podzwrotnikowych lasów nieprzebytych szumy — o czem śnicie Gangesu wody?

Przed lat latami, przed wieków wiekami od brzegów twych niedaleko stał pałac bogaty, z marmuru i ociosanych wielkich łomów skalnych zbudowany, ogrodem tęczowych orchidei, róż i magnolji owity.

Na stopniach alabastrowych, które wiodły do pałacu tego, dwanaście bronzowych lwów dniem i nocą czuwało to w blaskach słońca się prażąc, to chłodząc swe łapy w miesięcznych nocy chłodzie. Nad lasy, któremi był otoczony wznosiły się pałacu kopuły.

Był to pałac maharadży, tego kraju z woli Brahmy dzierżawcy i wszechpotężnego *Narutri*.

Tłumy niewolników drżały na dźwięk jego głosu. Gdy w podróż po swoich dzierżawach się wybierał trzysta słoni-olbrzymów dźwigało za nim jego nieprzebrane bogactwa. Potężnym był maharadża *Narutri*, potężnym jak mało władców było świata.

Miał *Narutri* córkę, jasnowłosą, uroczą *Lo-tę*, która piękną była pięknością bogów.

Usta jej były krwawe czerwienią maku, w którym się rodzi opium, równające ludzi z bogami. ciało jej było bieli kości słoniowej, a piersi jej śnieżne jako Everestu szczyty.

Piękną była *Lo-ta* i kochał córkę maharadża *Narutri*, pragnąc ją oddać za żonę maharadży kraju sąsiedniego

I stało się raz, gdy chłód nocny rosy całunem okrywać zaczął spieczoną żarem słonecznym ziemię, w czasie w którym tygrys, pręgowany dżungli bandyta, na wyprawę ruszać zwykł z swego legowiska, iż maharadża *Narutri* sam przechadzał się po swych ogrodach.

Noc dyszała zapachami kwiecia i rozgrzanej ziemi aromatem, cienie drzew z jasności księżycowej zrodzone kładły się na ścieżkach alei. Za ogrodami w dole kołysał się wał wód bezkresnych — był to Ganges.

W taką noc z oczami utwionemi w gwiazd tkaniny misterne zażywał przechadzki po swych ogrodach maharadża.

Naraz, gdy już skierować miał swe kroki do pałacu, usłyszał w zakątku parku szmer jakiś i jakby głosy przyciszone dwojga osób.

Zaciekawiony udał się w tym kierunku. Mchy i trawy tłumiły jego stąpań echo. Lekko rozchylił palmy listowie i w tył nagle się cofnął.

W drzew cieniu, w mrocznym zakątku stali spleceni uściskiem... *Lo-ta i Shimiwari*, przełożony jego straży pałacowej, młody i piękny jak bóg.

Jego męskie ramiona oplatały smukłą kibić córki maharadży, usta młodych złączone były słodyczą pocałunku...

Pierś maharadży zawrzała gniewem. *Lota*, córka jego, najpiękniejsza z Hindostanu dziewic śmiała złączyć swe usta pocałunkiem z ustami jego żołnierza. Ona, której pożądali wszyscy wodzowie Dekanu. O! niszczący Wisznu!

Ręka władcy spoczęła na drogocennej głowni krótkiego kindżału. I nie tak chytrze skrada się szakal by urwać tygrysowi część jego łupu, nie tak nikczemnie czai sie wokół drzewa owinięty boa, jak *Narutri* począł się skradać ku zespolonym w uścisku.

On, który jawnie setki wyroków wykonywał — jak tchórz szedł ukarać zuchwalca, tak by córka nie poznała mordercy.

Ale i sęp nie spada tak piorunnie na swą ofiarę jak runął na *Shimiwari'ego Narutri* zagłębiając mu dwukrotnie w plecach świecącą stal sztyletu.

I rozwarły się ramiona ofiary i runął *Shimiwari* na mchy i paprocie parkn skrapiając je krwią swoją.

Lecz w chwili kiedy maharadża stał jeszcze z podniesioną ręką, dzierżącą okrwawiony kindżał, podmuch wiatru rozchylił na moment liście palmy, a księżyc wdarł się w cieniste ustronie.

I w świetle jego poznała *Lo-ta* mordercę...

Odtąd uciekło szczęście z pałacu. Maharadża *Narutri* wewnętrznym ogniem trawiony jak raniony jeleń przebiegał kręte ścieżyny parku, unikając ludzkiego spojrzenia. A przecież o jego zbrodni nie wiedział nikt prócz niego, *Loty* i *Shimiwari'ego* — krom tych trzech istot, z których jedna była nieżyjącą ofiarą.

A w komnatach swoich skórami lam i tygrysów pokrytych, wysłanych dywanów z pobliskiej Persji miękiemi płatami — schnęła z rozpaczy, bólu i tęsknoty za zmarłym *Lota*, piękna *Narutri'ego* córka. Ni jedna skarga nie wyszła z jej purpurowych ust, ni jedna łza nie popłynęła z jej czarnych oczu, ni słowem nie dała poznać ojcu, iż wie kim jest morderca...

Suchemi oczyma patrzała leżąc na wschodnich tkaninach, na zielenią jaskrawe ogrody..

I patrzała tak codziennie przez długie, długie tygodnie...

Zwolna tylko przybladać zaczął blask jej skrzących czarnych oczu, zwolna z twarzy rumieniec młodości schodzić począł, zwolna poczęły wargi tracić swą purpurę, a pierś jej coraz to częściej wstrząsał złowrogi kaszel.

Aż dnia jednego lotem albatrosa rozbiegła się po pałacu. a stąd po kraju całym wieść o *Loty*, córki *Narutri'ego* ciężkiej chorobie, najpiękniejszej z najurodziwszych.

Gdy zwiastowano tę wieść *Narutri'emu*, kamienna twarz jego pobladła... i bezradnym ruchem człowieka złamanego gładzić i czesać począł palcami swą długą brodę, niedawno jeszcze czarną, dziś siwą, jak mew piórka.

Lecz wnet, pierwszy raz od owej nocy zbrodni, powróciła mu energja. Grzmiącym głosem polecił zwołać wszystkich znakomitych lekarzy i yogów kraju i obiecał im nieprzebrane bogactwa, gdy córce jego uratują życie.

Daremne jednak były wysiłki lekarzy i yogów najznakomitszych, daremne wysiłki mahatmów, którzy z samym Sziwą rozmawiali. *Lo-ta* więdła z dnia na dzień coraz bardziej, jak kwiat bez wody słonecznymi promieniami palony, jak lampa, której nie staje oliwy.

Wesoły niegyś pałac *Narutri'ego* stał się domem śmierci...

A *Narutri* szalał z rozpaczy i szukał upornie sposobu ratunku.

Wreszcie jeden z yogów oznajmił mu, iż jest jeszcze w Indjach człowiek, w którego mocy jest uratowanie córki maharadży.

Był to sławny niegdyś, dziś zapomniany przez wszystkich i półtora wieku liczący mahatma Midani. w pobliskich lasach, wśród zwierząt mieszkający.

I wysłał maharadża po niego gońców z błagalnemi słowy, by przybył i konającej Lo-cie życie przyniósł.

Lecz gońcy nie zdołali jeszcze dotrzeć do leśnej gęstwiny, kędy mieszkał mahatma wiekowy, gdy z pałacu swego okien dojrzał maharadża na ścieżynie wiodącej ku brzegom Gangesu jakby mgłę, która poruszała się w stronę jego ogrodów.

Mglisty obłok zwolna począł wyraźniejsze przybierać kształty, tracić swą nieuchwytność i lotność. Wyłoniły się z niego kontury starego pochylonego człowieka, który, jakby nie idąc lecz płynąc w rozgrzanem powietrzu, tuż nad ziemią, posuwał się w kierunku pałacu.

Jakoż wnet przybiegł do maharadży jeden z yogów zwiastując mu wieść dziwną, że oto Midani prastary podąża do pałacu życie zapewe niosąc dla Lo-ty.

I zadrżało serce Narutri'ego i wybiegł przed pałac tłumem znachorów i yogów otoczony, by powitać ulubieńca Brahmy.

On zaś zbliżał się powoli palmową aleą. Chudy był przerażająco i wieku brzemieniem schylony ku ziemi. Na twarzy zmarszczka pokrywała zmarszczkę, a skórę na policzkach miał koloru chińskiego pergaminu i tylko oczy gorzały mu nad wystającem czołem jako gwiazda wieczorna w noc bezmiesięczną,

Z głowy rozsypywały mu się po plecach, piersiach i barkach długie biało-mleczne włosy, długi splot brody opierał się o pierś zapadłą. Odziany był jedynie w misternie wykrojoną skórę koźlęcia. W ręku dzierżył długi, gruby bambus.

Podszedł i przenikliwym wzrokiem powiódł po zebranych, poczem ozwał się do maharadży:

— Tyś jest Narutri?, Ty, który myśląc o umarłym dla świata zakłócasz spokój obcującemu z wielką Trimurti? Albowiem dziś w modlitwach moich *usłyszałem* wasze myśli i z polecenia wielkiego bóstwa przychodzę, nim mię gońce przywołały.

— Witaj mahatmo! — odrzekł maharadża Narutri. — Gdy wiesz, iż cię wzywałem wiesz pewnie także w jakim celu. Daj życie, gdyś mocen, mojej córce. Bogactwa świata...

— Nie obiecuj maharadżo — przerwał Midani — i wiedz, iż niema takich bogactw świata, by za nie można było kupić życie — ja zaś ich nie potrzebuję, Śmierć stoi nad Lo-tą, chodźmy...

I poszli maharadża z najsławniejszym z yogów do ogrodu, gdzie kazała się wynosić Lo-ta, jak najbliżej chcąc być Gangesu świętego. Córka maharadży leżała bezsilna na posłaniu z kobierców i poduszek — na twarz jej występować już poczęło piętno bliskiej śmierci. Dwie czuwające nad chorą służebne Narutri gestem oddalił.

A gdy zostali sami żużle swych oczu rozpalone utkwił mahatma w maharadży i począł mówić głosem cichym, monotonnym:

— Twej córki radżo nie uratuje nikt. I ja życia jej dać nie mogę takiego, jakie zwykle mają ludzie, ale gdy zechcesz — za wolą bogów — mogę zwilżyć jej wargi zwęglałe od gorączki eliksirem, który da jej życie wieczne. Czy zgadzasz się na to?

A Narutri, jak słabe dziecko, któremu robią krzywdę wszyscy odparł wpółszeptem, złamanym głosem:

— Daj jej eliksir życia, Midani!

A słońce już zbliżało się do kresu swej dziennej podróży, purpurową posoką świateł okrywając liście i drzewa parku.

Niedaleko, na dole, u kresu ogrodu, szumiał bezbrzeżny Ganges opalizując w światłach wieczornych.

Mahatma zaś ujął pustą czarkę stojącą u głowy Lo-ty i dobywszy z za koźlej skórki, która go okrywała trzcinowej buteleczki sączyć z niej począł do czary płyn wonny, gęsty a bezbarwny,

— Oto, — szeptał — maharadżo, mego całego życia trud, pracą lat 75 przyrządzane na śmierć lekarstwo. Przyniesie ono twej córce życie bezkresne.

I ująwszy czarę podsunął ją pod usta chorej.

Lecz maharadża nagle dłoń przed się wyciągnął,

— Czekaj! — rzekł rozkazująco.

Poczem, jakby walkę z sobą tocząc zapytał głosem szybkim urywanym, jak człowiek, któremu brak tchu:

— Czy śmierć jest jeszcze daleko?

— Już idzie, władco! Gdy słoneczna kula ochłodzi swe łono w Gangesu falach, gdy *szakal ziemi* blask swój od niej kraść pocznie, gdy ostatnia dzika pszczoła, mroku nocy trwożna, do dziupła swego podąży, Lo-ta będzie między wyzwolonemi. Spiesz się więc i wybieraj: śmierć lub życie wieczyste.

— Słuchaj mnie starcze — mówić począł Narutri cichym zrazu, potem coraz wzbierającym głosem. — Słuchaj: na możnego Brahmę, zaklinam cię, mów prawdę. Eliksir twój daje życie wieczne na ziemi — ale czy daje też szczęście wieczyste? Czy usuwa on nędzę serc ludzkich i rozpacz i gniew i ból i wyrzuty sumienia? Mów, mahatmo Midani!

— Nie — odparł zapytany — eliksir mój daje tylko życie. A to jest dużo, maharadżo, bardzo dużo, bo to jest: *wszystko i nic.*

— Midani — ozwał się znów Narutri'ego głos — żali napój twój cudowny dając nieśmiertelność ziemską daje też zapomnienie, czy daje uciszenie tęsknot i poniechanie nieziszczalnych nadziei?

— Nie maharadżo. Eliksir nie ma tej mocy — bo życie to niemożność zapomnienia, to tęsknota i niespełnione nadzieje.

— Więc cóż przynosi zapomnienie?

Nadeszła chwila ciszy i tylko magnolje bezszelestnie zamykały kielichy swych kwiatów przez chłodem zachodu, który szedł od gór.

I w ciszy tej ozwała się odpowiedź starca:

— Przynosi je tylko śmierć!...

I znów nastała cisza. Tylko słońce z chorobliwą szybkością opuszczało się po seledynie nieba, jakby pragnąc co rychlej zaspokoić swe pragnienie w gangesowych falach.

Lo-ta poruszyła się na swem posłaniu, jakby budząc się z ciężkiego snu.

Spiesz się! — wyszeptał Midani do maharadży. Słyszę już kroki śmierci.

Narutri ocknął się z zadumy i rękę ku mahatmie wyciągnął.

Daj mi tę czarę — rzekł rozkazującym głosem.

Co chcesz uczynić? zapytał Midani, lecz umilkł spojrzawszy na twarz maharadży, na której malowało się olbrzymie skupienie i podał mu czarę z napojem życia.

A Narutri ujął ją i zdecydowanym ruchem rzucił nią na głaz pobliski, iż rozprysnęła się na drobne kawałki, perełki zaś płynu rozsypały się w trawach.

A w tejże chwili ciałem Lo-ty wstrząsnął dreszcz, wargi pokryła siność – córka maharadży nie żyła.

A w tejże chwili słoneczny krąg dotknął powierzchni Gangesu i począł się w nim zanurzać. I na przeciwległej nieba stronie skradzionym światłem zabłysł *szakal ziemi*, a w ciszy rozległ się delikatny szelest skrzydełek ostatniej pszczoły dzikiej, która nocy mroku trwożna do drzewnej dziupli uciekała.

Maharadża Narutri padł twarzą na mokre od ros trawy i szlochał jak zbłąkane w dżunglach pacholę hinduskie.

Po starczej zaś twarzy mahatmy Midaniego najstarszego z yogów, błąkał się uśmiech zagadkowy, taki jaki widzieć można w noc księżycową na twarzy Sfinksa w Gizeh, gdy piaskom żółtym pustyni tajemnice tysiącleci zdradza.

OGŁOSZENIA.

Właściciel i wydawca: Czesław Lipiński. Odpowiedzialny redaktor Dr. Lipiński. Drukarnia i kliszarnia „Nowości Illustrowane" pod zarządem L. Gronusia (firma Friedleina